

OPUSZCZANIE NA ZA KRÓTKIEJ LINIE

Na sztucznych obiektach wspinaczkowych (zarówno krytych, jak i otwartych), przyjęła się zasada, że do liny przypina się tylko ta osoba, która się wspina, podczas gdy asekurujący ją (i opuszczający) partner już nie. I rzeczywiście, na ogół nie jest to konieczne, bo na sztucznych ściankach pokonujemy z reguły drogi znacznie krótsze niż półwyciągowe. Niestety, przyzwyczajenie drugą naturą człowieka i wielu wspinaczy przenosi tę zasadę do parków wspinaczkowych i na skałki. A tam już nie jest tak bezpiecznie – lina może się okazać za krótka i podczas opuszczania nieoczekiwanie wysunąć się **asekurantowi** z rąk i przyrzędu asekuracyjnego. Nie ma chyba skał ani parku wspinaczkowego, w których nie zdarzył się jeszcze żaden wypadek tego rodzaju. Liczba takich zdarzeń znacznie wzrosła wraz z rozpowszechnieniem wspinaczki na wędkę (początek lat 80.) i wkrótce osiągnęła taką skalę, że Komisja Bezpieczeństwa DAV postanowiła dokumentować już tylko te

z nich, które skończyły się śmiercią lub bardzo poważnymi (nieodwracalnymi) obrażeniami (przykładowo, strzaskanie kości piętowej nie jest dokumentowane, ponieważ na ogół bywa – przynajmniej do pewnego stopnia – wyleczalne). Dziś, w rejonach wielkości Jury Frankońskiej, właściwie każdy weekend przynosi co najmniej jeden taki wypadek. Najczęściej wypadki te są niegroźne (dlatego zwykle się o nich nie dowiadujemy), ponieważ zdarzają się wtedy, kiedy opuszczanego dzieli od ziemi już tylko kilka metrów, a przy upadku z małej wysokości, zazwyczaj niewielkie są także obrażenia. Zazwyczaj, ale nie zawsze.

Zdarzają się także wypadki śmiertelne lub uszkodzający ma poważne obrażenia. Niektóre z nich kończą się w sądzie. Najpierw dochodzenie prowadzi policja, a kiedy powstaje podejrzenie zaniedbania ze strony osoby trzeciej (a tak dzieje się często), sprawę przejmuje prokuratura. Bo zamiar lub – bardziej prawniczo – winę umyślną, można tu raczej wykluczyć.

Często zdarzają się też procesy cywilne o odszkodowanie i zadośćuczynienie – ofiary wypadków rzadko są bowiem skłonne uznać swoje obrażenia za przypadek losowy. Do tego dochodzą jeszcze roszczenia ubezpieczycieli,



Nawyk ze ścianek wspinaczkowych: asekuracja bez wpięcia w linę

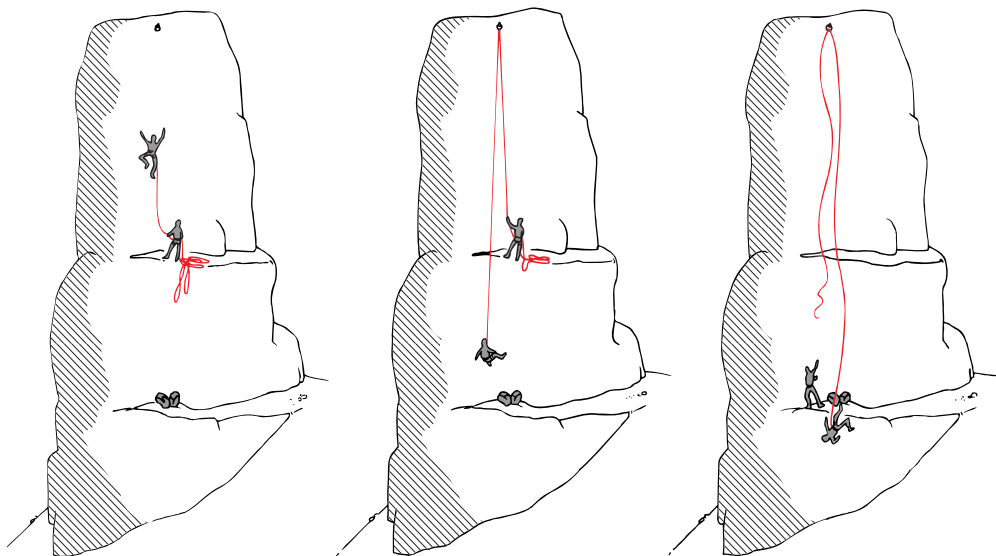
którzy dowiadując się o winie osoby trzeciej, ubiegają się o zwrot kosztów poniesionych na pobyt w szpitalu i leczenie poszkodowanych. Poniżej opis kilku wypadków wraz z kwotami roszczeń ich uczestników – żeby było wiadomo, o jakich pieniądzach mówimy.

W skałach Palatynatu


Większość dróg wspinaczkowych w skałach Palatynatu jest na tyle krótka, że współczesne liny o długościach od 50 do 70 metrów spokojnie pozwalają je pokonywać z górną asekuracją (stąd duża popularność w tym rejonie wspinaczki na wędkę). Czasem okazuje się jednak, że lina ma o parę metrów za mało.

W maju 1999 roku dwaj przyjaciele i wieloletni partnerzy wspinaczkowi, wybrali się w skały Palatynatu. Tym razem zdecydowali się na jedną z dróg na skale Heidenpfeiler. Kiedy dotarli do pierwszej półki, zostawili na niej część wyposażenia i ruszyli dalej w stronę kolejnej. Planowali, że po pokonaniu całej trasy opuszczą się na górną półkę, bo zjazd od

razu na sam dół wiązałyby się z nadmiernym szorowaniem liny o skałę. Jak zaplanowali, tak zrobili: najpierw na samą górę dotarł jeden z przyjaciół, po czym został opuszczony przez partnera na górną półkę. Następnie zamienili się rolami: drugi z partnerów wspiął się na górę, a pierwszy go opuścił, z tym że już nie na górną półkę, ale od razu na dolną (tam gdzie zostawili sprzęt) – po to, żeby szybciej zakończyć wspinaczkę. Ten etap też przebiegł gładko i zgodnie z planem – lina była wystarczająco długa. Kolejnym krokiem było opuszczenie pierwszego partnera z górnej półki na dolną. I tu już, niestety, lina okazała się za krótka – kiedy opuszczanemu brakowało do dolnej półki około trzech metrów, lina wyslizgnęła się z rąk (i ósemki) asekurującego i jego przyjaciel poleciał w dół – najpierw na półkę, a potem jeszcze 10 metrów dalej, aż do podstawy ściany. Wypadek skończył się wieloodłamowym złamaniem kości nadgarstka i częściowym paraliżem kończyn dolnych, a także roszczeniem zadośćuczynienia



w wysokości 200 tysięcy marek¹. W wyniku procesu cywilnego, pozwany (asekurujący) został skazany prawomocnym wyrokiem na wypłacenie tej sumy.

Zmiana miejsca, w którym znajduje się opuszczający, i nieuwzględnienie związanej z tym zmiany długości trasy opuszczania, to błąd, który zdarza się dość często. W tym wypadku o przeoczenie było o tyle łatwiej, że zmieniła się nie tylko pozycja opuszczanego, lecz także osoby opuszczającej. A wystarczyło zamiast 55-metrowej użyć 60-metrowej liny, którą przyjaciele zostawili na dolnej półce. Pięć metrów liny **wiecej** i nie doszłoby do tak tragicznego finału 

W Jurze Frankońskiej

Latem 2000 roku do Komisji Bezpieczeństwa DAV przyszedł list ze środkowych Niemiec – autor skarżył się, że w pewnym przewodniku po Jurze Frankońskiej podano nieprawidłowe wysokości ścian wspinaczkowych, co okazało się dla niego fatalne w skutkach. Co się wydarzyło?

Rzecz miała miejsce podczas wspinaczki na ścianie Stierberger Gemenwand. Mężczyzna pokonał drogę *Weisse Verschneidung* (V+), następnie został opuszczony przez partnera na ziemię, a raczej prawie na ziemię, bo zbyt krótka – jak się okazało – lina, wyślizgnęła się asekurującemu z rąk i ósemki, co dla autora listu skończyło się 5-metrowym upadkiem i wieloodłamowym złamaniem lewego ramienia (w chwili oddawania książki do druku nie było jeszcze wiadomo, czy uraz okaże się w pełni wyleczalny, czy pozostawi trwał skutki). Wspinacze używali 60-metrowej liny, która – zgodnie z tym, co przeczytali w przewodniku (wysokość ściany 20 metrów, trasa biegnąca nieomal w linii prostej) - powinna spokojnie wystarczyć.

Nie mogłem i nie chciałem uwierzyć, że

¹ Kurs marki niemieckiej wynosił wtedy ok. 1,9 EUR (przyj. red.)



Na ścianie Stierberger Gemenwand

zarówno autor przewodnika, jak i obaj wspinacze mogli się aż tak pomylić. Zwłaszcza że *Weisse Verschneidung* jest drogą „prawie szóstkową”, a to oznacza, że wspinający się nie mogli być nowicjuszami. Pojechalśmy więc na miejsce wypadku, zmierzaliśmy wysokość ściany oraz długość drogi wspinaczkowej i drogi opuszczania (krótszej od wspinaczkowej ze względu na przebieg w linii prostej). Wyniosły one odpowiednio: dokładnie 30 metrów (czyli dużo więcej niż 20 metrów podane w przewodniku), dokładnie 28,5 metra (trasa wyznaczona przez 7 punktów asekuracyjnych oraz hak zjazdowy u szczytu ściany) i 27,5 metra. Po to, by otrzymać długość liny potrzebnej w tym miejscu do bezpiecznego opuszczenia partnera, należy zsumować dwie ostatnie wartości i dodać jeszcze około 1 metra, potrzebnego do przywiązania się. Wychodzi 57 metrów, zatem 60-metrowa lina, której użyto w opisywanym zdarzeniu, powinna wystarczyć (tym bardziej że nie wzięliśmy pod uwagę korzystnego w tej sytuacji efektu rozciągania liny).

Ponieważ jednak Stierberger Gemenwand jest w miejscu, o którym mowa, prawie pionowa i stojący u jej podnóża asekurowający musi mocno zadzierać głowę, żeby widzieć prowadzącego, można przypuszczać, że asekurowający odsunął się trochę od ściany, żeby oszczędzić kark. A że teren w tym miejscu opada, to oddalając się, jednocześnie schodził w dół, „marnując” cenne metry liny, potrzebne do bezpiecznego opuszczenia partnera.

Niewykluczone też, że lina, z której korzystali wspinacze, nie miała już 60 metrów. Zbyt mało mówi się o tym, że wskutek eksploatacji liny wcale nie zwiększają swojej długości, lecz wręcz przeciwnie – skracają się. Czasem (przy intensywnym używaniu) nawet o 8%, czyli przy linie 60-metrowej o prawie 5 metrów.

W większości przewodników znajdziemy następującą uwagę: „Wszystkie trasy prezentowane w niniejszym przewodniku zostały opracowane zgodnie z najlepszą wiedzą i intencją autora, jednak zarówno on, jak i wydawnictwo nie gwarantują całkowitej zgodności podawanych informacji z rzeczywistością”.

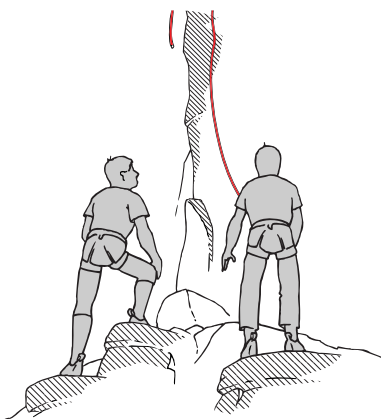
Byłoby oczywiście lepiej, gdyby przewodniki w ogóle nie pisały o wysokości ścian, niż żeby podawały błędne (w tym wypadku wysokość zanizono aż o 10 metrów). Zmuszałoby to wspinaczy do dokładniejszego przyglądania się skale, czego zabrakło latem 2000 roku na Stierberger Gemenwand. Stojąc u podnóża tej ściany, można bowiem łatwo zauważyć, że musi ona być znacznie wyższa niż 20 metrów (osoby, które prosiłszy o ocenę jej wysokości „na oko”, mówiły o 27-28 metrach).

W 1997 roku podobny wypadek zdarzył się na ścianie Konsteiner Wand w południowej części Jury Frankońskiej. Dwuosobowy zespół wspinął się czwórkową drogą z asekuracją na wędkę, również i tym razem wspinacze źle ocenili wysokość ściany, a co za tym idzie – potrzebną długość liny (u dołu Konsteiner Wand znajduje się łatwy, ale dość wysoki próg

i prawdopodobnie to właśnie z jego powodu nastąpiła pomyłka). Zabrakło tylko 1,5 metra, ale wypadek był poważny. Kiedy asekurowający wypuścił linę, jego partnerka spadła i stoczyła się w dół progu, doznając różnych obrażeń, w tym złamania obu goleni, które musiała leczyć i rehabilitować przez cztery miesiące. Poszkodowana dopiero zaczynała swoją przygodę ze wspinaczką, natomiast jej partner był doświadczony. Od strony prawnej nie było więc żadnych wątpliwości, co do kwestii winy. Początkowo jednak ubezpieczyciel asekurowającego odmawiał wypłaty odszkodowania. Dopiero kiedy poszkodowana wstąpiła na drogę cywilnoprawną, udało jej się otrzymać należne pieniądze.

W południowej Francji

W marcu 1994 roku dwaj zaprzyjaźnieni, wieloletni partnerzy wspinaczkowi z Niemiec wspinali się w rejonie Orpierre na południu Francji. Kiedy prowadzący przywiązywał się do liny i rozpoczynał wspinaczkę do pierwszego przelotu, jego partner skoczył jeszcze na chwilę w pobliście krzaczki. Załatwwszy co trzeba, wrócił pod ścianę i wpiął linę do Grigri. Kiedy opuszczał przyjaciela na ziemię, zbyt krótka – jak się okazało – lina,



Od początku było wiadomo: lina jest za krótka

wymknęła mu się z rąk i przyrzędu asekuracyjnego. Partner poleciał w dół i – ponieważ nie miał kasku – doznał bardzo poważnego wstrząśnienia mózgu, połączonego z krwawieniem śródczaszkowym i uszkodzeniem komórek mózgowych. Złamał również szczękę i jedną z kości podudzia. Trafił do szpitala, gdzie przez wiele dni leżał nieprzytomny na oddziale intensywnej terapii. W różnych placówkach medycznych i klinikach rehabilitacyjnych spędził w sumie 19 miesięcy. Przeżył, ale stał się całkowicie niezdolny do pracy, a nieodwracalne zmiany osobowości spowodowane uszkodzeniem mózgu były na tyle poważne, że nie był w stanie samodzielnie funkcjonować. Ubezpieczyciel wypłacił poszkodowanemu zadośćuczynienie za ból i cierpienie w wysokości 300 tysięcy marek

oraz rentę i zasiłek pielęgnacyjny w kwocie 175 tysięcy marek. Pokrył również koszty leczenia szpitalnego i rehabilitacji (około 440 tysięcy marek). Wszystko to mimo współwiny (brak kasku) ofiary wypadku.

Dwaj doświadczeni wspinacze sportowi wspinali się na wędkę na drodze o trudności 6c (w skali UIAA: VII+/VIII-). Zdecydowali się na tę trasę, mimo że mieli o dwa metry za krótką linę. Prowadzący, żeby móc się przywiązać do liny przeciągniętej przez hak zjazdowy, musiał najpierw wspiąć się 2 metry w górę. Po jakimś czasie asekurujący postanowił zmienić pozycję na wygodniejszą i oddalił się kilka metrów od skały, przez co „skrócił” linę o kolejne 3 metry. Kiedy opuszczał partnera na dół, przez nieuwagę wypuścił linę z rąk, a ta przeleciała przez

Ubezpieczenie DAV od odpowiedzialności cywilnej

Opłata rocznej składki członkowskiej DAV¹ oznacza równocześnie kupno obowiązującego na całym świecie ubezpieczenia OC, obejmującego wypłatę odszkodowania w wysokości do dwóch milionów euro w razie uszczerbku na zdrowiu lub strat materialnych. Ubezpieczenie dotyczy wyłącznie tych czynności, które członek DAV wykonuje jako osoba prywatna, nie obejmuje natomiast działań, za które otrzymuje wynagrodzenie lub które wykonuje nieodpłatnie, ale na zlecenie osób trzecich (ograniczenie nie dotyczy okazjonalnych lub przypadkowych sytuacji, w których członek DAV podejmuje się nieodpłatnego prowadzenia grupy osób lub pojedynczego turysty). Ubezpieczenie pokrywa koszty strat poniesionych podczas dojazdu na miejsce docelowe i podczas powrotu do miejsca zamieszkania.

Na okoliczność organizowanych przez poszczególne sekcje DAV wypraw i kursów szkoleniowych, Towarzystwo zapewnia przewodnikom i instruktorom (wykonującym swoje zadania nieodpłatnie i narażonym zwykle na większe ryzyko wypadku) korzystniejsze warunki ubezpieczenia.

Ubezpieczenie OC oferowane w ramach członkostwa w DAV² jest bardzo atrakcyjne i samo w sobie może być wystarczającym powodem do wstąpienia w szeregi Towarzystwa, zwłaszcza że prywatne polisy tego rodzaju kosztują więcej niż roczna składka członkowska, która dodatkowo obejmuje także ubezpieczenie pokrywające koszty akcji poszukiwawczo-ratowniczej i transportu do szpitala (por. ramka str. xx)³.

- 1 W 2012 roku w różnych sekcjach DAV wysokość rocznej składki członkowskiej wynosiła od 45 do 90 euro (młodzież i rodziny płacą mniej).
- 2 Podobne zabezpieczenia dotyczą członków Austriackiego Towarzystwa Alpejskiego i Towarzystwa Alpejskiego Południowego Tyrolu (por. odpowiednio: www.oeav.at i www.av.s.it).
- 3 Polskie organizacje wspinaczkowe nie oferują w ramach członkostwa ubezpieczenia. Polscy wspinacze chętnie zapisują się do DAV i OEAV i korzystają z ich ubezpieczeń. OEAV ze względu na duże zainteresowanie obsługuje ich nawet w języku polskim (przyj. red.).

przyrząd asekuracyjny, co skończyło się dla opuszczanego upadkiem z wysokości około 5 metrów i ciężkimi obrażeniami kręgosłupa w odcinku lędźwiowym.

Kiedy poszkodowany zażądał zadośćuczynienia za ból i cierpienie w wysokości 10 tysięcy marek, sprawa trafiła do sądu. Podczas rozprawy pozwany uznał swój błąd, obstawał jednak przy współwinie partnera, który wiedział przecież, że lina jest za krótka o co najmniej dwa metry, bo tyle musiał się wspiąć, żeby móc się do niej przywiązać. Współodpowiedzialność kolegi ocenił na 50%. Partner zgodził się na współwinę, uważał jednak, że jej stopień powinien być niższy. Ostatecznie zdecydował sąd, oceniając go na 15%.

Pamiętam kurs, podczas którego pewien znany prawnik opowiadał nam podobne historie i mocno podkreślał ich kosztowne następstwa, ostrzegając: „Jeśli przytrafi wam się coś takiego, a nie będziecie mieli odpowiednio wysokiego ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej, pozostanie wam tylko pakować walizki i uciekać czym prędzej gdzie pieprz rośnie. Inaczej do końca życia będziecie robić już tylko jedno: płacić, płacić, płacić”. Lepiej więc zawczasu wykupić polisę OC w życiu prywatnym, ubezpieczając się na kwotę co najmniej pół miliona euro, a najlepiej na 1 milion (por. ramka). Zwłaszcza że ubezpieczenie to może się przydać nie tylko w górach, lecz także na okoliczność wypadków w życiu codziennym.

Prawdziwie bezpieczna metoda?

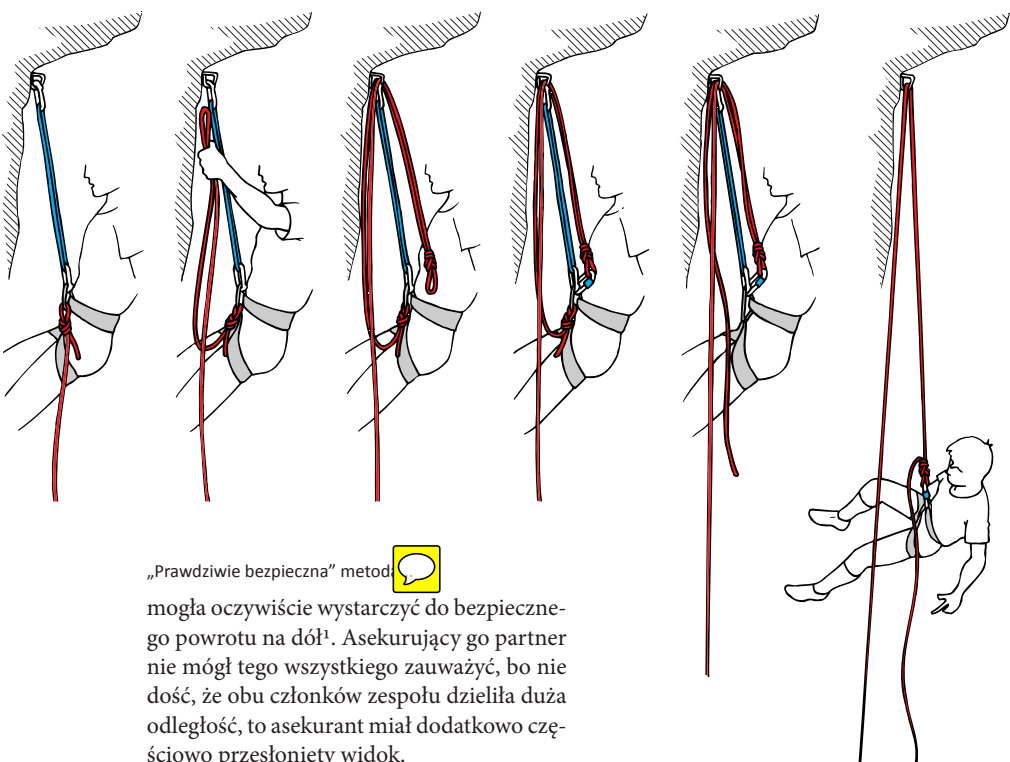
Jedną z ważniejszych przyczyn wypadków w górach jest brak wiedzy u wspinaczy, ryzyko pojawia się więc zawsze podczas kursów wspinaczkowych – i to nawet wtedy, kiedy doszkalają się doświadczone osoby, które przecież – co dość oczywiste – tego, czego się uczą, jeszcze nie umieją.

Latem 2000 roku na skale Roter Fels w Jurze Frankońskiej odbywał się kurs in-

struktorów wspinaczki. Kolejni kursanci mieli za zadanie poprowadzenie wyciągu do punktu zjazdowego i przepinkę, a ich partnerzy opuszczenie kolegów z powrotem na dół (zostali przy tym pouczeni, żeby nie zmieniać pozycji podczas opuszczania partnerów). Wszyscy korzystali z tej samej 60-metrowej liny, szkolenie przebiegało sprawnie i bez problemów. Aż do pewnego momentu. Podczas opuszczania kolejnego kursanta okazało się, że lina jest o dwa metry za krótka. Asekurujący nie zdążył zareagować, lina wymknęła mu się z rąk i ósemki, a kolega, którego opuszczał, spadł najpierw dwa metry na półkę, z której rozpoczął wspinaczkę, a potem jeszcze dalszych pięć metrów w dół. Wezwano helikopter ratunkowy, który szybko przewiózł poszkodowanego do szpitala, gdzie na szczęście okazało się, że doznał tylko lekkich obrażeń. Jak to się mogło stać, skoro do tej pory lina była wystarczająco długa, a asekurujący nie ruszał się z miejsca?

Odpowiedź jest prosta. W przeciwieństwie do poprzedników, poszkodowany skorzystał z innej i – co podkreślono w raporcie powypadkowym – „prawdziwie bezpiecznej” metody przepinki (ostatnio metoda ta staje się coraz bardziej popularna, bo jest bezpieczniejsza niż dotychczasowe, przy których istnieje duże ryzyko popełnienia błędu i których nieuważne stosowanie stało się przyczyną wielu wypadków¹). Jednak coś za coś – nowa technika „kosztuje” przynajmniej dwa metry liny, a często nawet więcej (w zależności od odległości między punktem zjazdowym a miejscem zamocowania liny do uprzęży). O tym poszkodowany niestety nie pomyślał. A ponieważ hak zjazdowy znajdował się tuż pod przewieszeniem i wspinacz był na nim przyasekurowany wyjątkowo długą pętlą, „zmarował” na przepinkę naprawdę długi odcinek liny (por. rys.). W efekcie lina nie

1 Por. t. I, str. 163-166.



„Prawdziwie bezpieczna” metod



mogła oczywiście wystarczyć do bezpiecznego powrotu na dół¹. Asekurujący go partner nie mógł tego wszystkiego zauważyć, bo nie dość, że obu członków zespołu dzieliła duża odległość, to asekurant miał dodatkowo częściowo przesłonięty widok.

Środek liny?

Do czasów zjednoczenia Niemiec w Górach Połabskich wspinano się zgodnie ze starą saksońską tradycją, wyłącznie z dolną asekuracją. Czasy się jednak zmieniły i również w tym rejonie coraz popularniejsza staje się wspinaczka na wędkę, ku wielkiemu ubolewaniu najstarszych saksońskich wspinaczy, dla których jest ona jedynie wybrakowaną formą prawdziwego wspinania. I nie sposób nie przyznać im racji – wspinaczce na wędkę rzeczywiście czegoś brakuje: tego niepodrabialnego dreszczyku emocji, związanego z ryzykiem odpadnięcia podczas prowadzenia wyciągu



¹ Sposób przepinania, który nie powoduje utraty liny opisano w I tomie (por. t. I, str. 165).

Wiosną 1998 roku trzyosobowy zespół wspiął się na skale Nonne. Najpierw jeden ze wspinaczy wspiął się do osadzonego w górze ringa, przełożył przez niego linę (60 metrów długości, brak zaznaczonego środka) i został opuszczony z powrotem na dół, przy czym luźna część liny spoczywała w torbie, żeby nie narażać jej na nadmierny kontakt z wyjątkowo piaszczystym podłożem (chyba w żadnym innym rejonie wspinaczkowym Europy Środkowej nie ma tyle piachu co w Górach Połabskich). Kiedy pierwszy wspinacz znalazł się na dole, zamienił się rolami z partnerem – teraz to on był asekurującym, a kolega, który go przed chwilą opuszczał, przywiązał się do liny „gdzieś mniej więcej pośrodku” (śpieszył się, bo w kolejce czekał jeszcze jeden członek zespołu) i ruszył do góry. Wszystko poszło

gładko, aż do momentu opuszczania – ukryta w torbie lina okazał się za krótka i prześlizgnęła się asekurującemu przez ręce i Grigri. Opuszczany partner spadł na ziemię i odniósł śmiertelne obrażenia (zmarł na oddziale intensywnej terapii). Pomysł z umieszczeniem liny w torbie, choć z pozoru całkiem rozsądny, przyczynił się do tragedii, bo asekurujący nie zorientował się w porę, że „wyciąga” z torby jej ostatnie centymetry.

Wniosek? Lina musi być zawsze widoczna w całości, tak żebyśmy w każdej chwili mogli ocenić, ile jej jeszcze zostało.

W opisywanym wypadku do błędnej oceny długości pozostałej do dyspozycji liny mogła się dodatkowo przyczynić następująca okoliczność: punkt zjazdowy znajdował się wprawdzie na niewielkiej wysokości (tylko 15 metrów), ale po drodze trzeba było pokonać 7-metrowy trawers i wpiąć linę do kilku przelotów, co oczywiście kosztowało cenne metry, a mogło umknąć uwadze asekurującego, pozwalając mu na trwanie w przeświadczeniu, że skoro punkt zjazdowy jest tak nisko, to liny na pewno nie zabraknie.

Sprawa trafiła do sądu. Asekurującego mężczyznę oskarżono o spowodowanie rozległych obrażeń ciała ze skutkiem śmiertelnym, co jest poważnym przestępstwem. Jednak ze względu na tragiczne okoliczności (oskarżony i ofiara byli spokrewnieni) oraz na podstawie opinii rzeczoznawcy, który potwierdził, że w obrębie pokonywanej drogi występuje „złudzenie optyczne”, mogące wpływać na błędną ocenę długości zużytej liny, postępowanie karne zostało umorzone, a sprawy wypadku nakazano jedynie wpłacenie określonej sumy na konto saksońskiego pogotowia górskiego. Sąd dał jednak jasno do zrozumienia, że odstępuje od nałożenia wyższej kary wyłącznie w drodze wyjątku – po pierwsze, ze względu na nadzwyczajne okoliczności, po drugie, dlatego, że oskarżony potrafił udowodnić, że w ciągu swojej przeszło 20-letniej kariery



Tak mogło to wyglądać

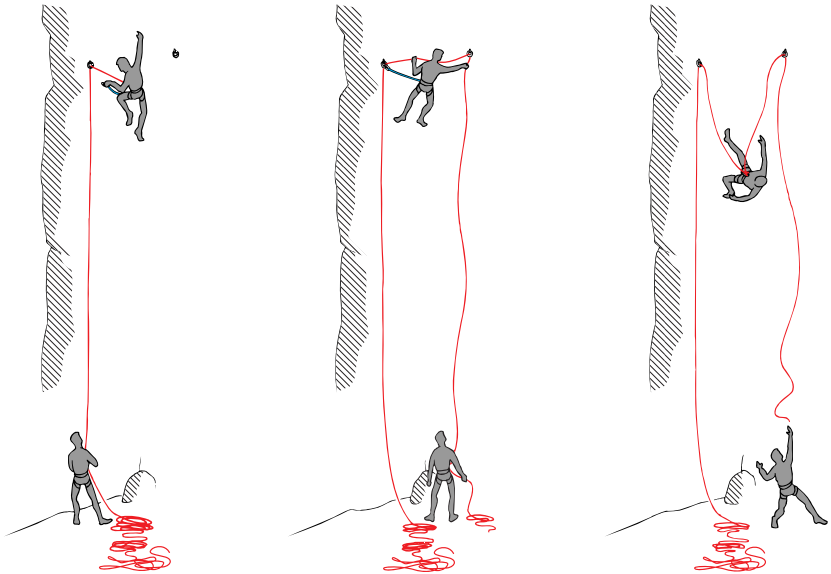
wspinaczkowej nie miał żadnego wypadku.

Także w Stanach Zjednoczonych przywiązywanie się „gdzieś w środku liny” jest powszechną praktyką, dlatego również i tam zdarzają się analogiczne wypadki z „za krótką liną”. Wspomnijmy choćby dwa z wielu podobnych zdarzeń, które miały miejsce w ostatnich latach: wypadek na skale Cerberus Gendarme w parku narodowym Zion National Park w stanie Utah i wypadek w paśmie Shawangunks niedaleko Nowego Jorku (por. także t. I, str. 162-163).

Prawo Murphy'ego

Zgodnie ze wspomnianym już wielokrotnie prawem Murphy'ego, jeśli istnieje choćby niewielkie prawdopodobieństwo wystąpienia jakiegoś wypadku, to prędzej czy później na pewno o nim usłyszymy. Trzeba tylko cierpliwie poczekać.

Na ścianach Gössweinsteiner Wände w Jurze Frankońskiej wspinacz przywiązał się autoasekuracją do haka zjazdowego (por. rys.) i zaczął się przepinać na drugi, po to, by założyć na nim punkt asekuracyjny potrzebny do pokonania sąsiedniej drogi wspinaczkowej na wędkę. Stojący na dole partner wpiął linę z przyrządu asekuracyjnego (karabinek HMS), a jego kolega przeciągnął ją przez nowy punkt zjazdowy tak, że na ziemi znalazł się drugi koniec i jeszcze kilka metrów liny.



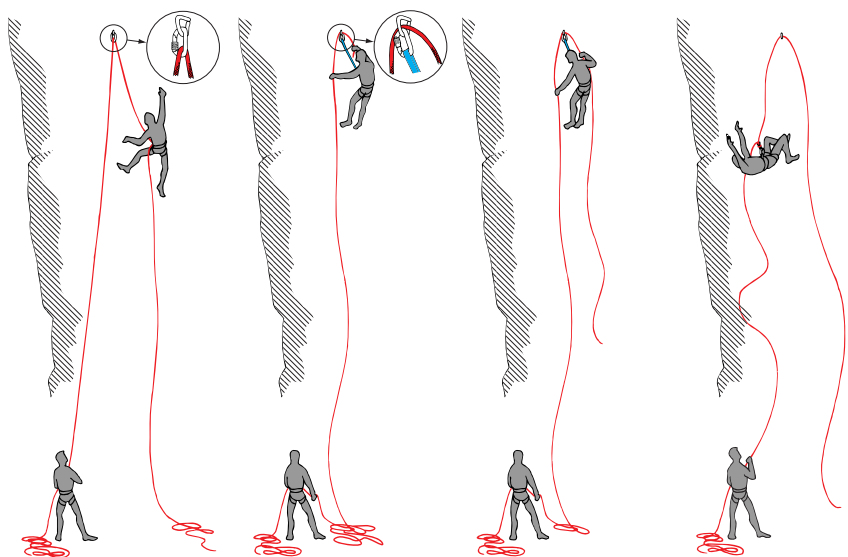
Opuszczanie na niewłaściwym końcu liny

Następnie ponownie przypiął się do liny za pośrednictwem kluczki i zakręcanego karabinka, a jego partner na nowo wpiął linę do karabinka HMS. Niestety, zamiast zrobić to na tym samym co poprzednio końcu liny, zrobił to na jej krótszym odcinku (tym, który przed chwilą opadł na ziemię). Finału możemy się domyślić – w pewnym momencie zabrakło liny i opuszczany runął w dół (tym razem skończyły się stosunkowo niegroźnie – złamaniem miednicy).

W południowej Francji pewien niemiecki wspinacz pokonał 15-metrową drogę wspinaczkową i został opuszczony z powrotem na dół (w użyciu była 60-metrowa lina). Następnie w górę ruszył jego partner, któremu nie chciało się szukać środka liny, więc przywiązał się do niej dosłownie na chybił trafił. Oczywiście, jak można się domyślić, „trafił” daleko od środka liny, tak że jeden z jej końców był wyjątkowo długi, a drugi wyjątkowo krótki. Ponieważ był on ostatnią

osobą, która wspinała się na tej drodze, miał za zadanie przygotować górne stanowisko asekuracyjne na sąsiedniej trasie. Kiedy dotarł do haka zjazdowego, musiał więc przeciągnąć linę przez nowy hak. Stał wówczas przed wyborem, którego końca liny użyć. Zdecydował się na krótszy, żeby się „za bardzo nie męczyć z przeciąganiem”. Kiedy skończył, inny kolega (który dopiero co przybył pod ścianę), zaczął go opuszczać na ziemię. Liny oczywiście nie wystarczyło. Zabrakło aż 8 metrów i tyle poleciał w dół nasz leniwy wspinacz. Na szczęście obrażenia, które odniósł były raczej niewielkie, zważywszy na wysokość, z jakiej spadł. Wypadek można uznać za niezwykle także dlatego, że stojący na dole koledzy zauważyli, że poszkodowany przeciągnął przez punkt asekuracyjny krótszy koniec liny i zwrócili mu na to uwagę, on jednak nie wziął sobie tego do serca.

W statystykach wypadków DAV za lata 1998-1999 wspomniano, że do tej pory nie



Temu wypadkowi na szczęście udało się zapobiec

zdarzył się jeszcze wypadek w rodzaju opisanego powyżej, ale – zgodnie z prawem Murphyego – można się spodziewać, że kiedyś to pewnie nastąpi. Zwłaszcza że doszło już do podobnego „prawie-wypadku”. Szczęśliwie asekurujący wykazał się wówczas refleksem i w porę ostrzegł kolegę. Jaki błąd popełniono tym razem?

Dwuosobowy zespół wspinał się z asekuracją na wędkę; lina była przeciągnięta przez wiszącą na haku zakręcany karabinek (por.

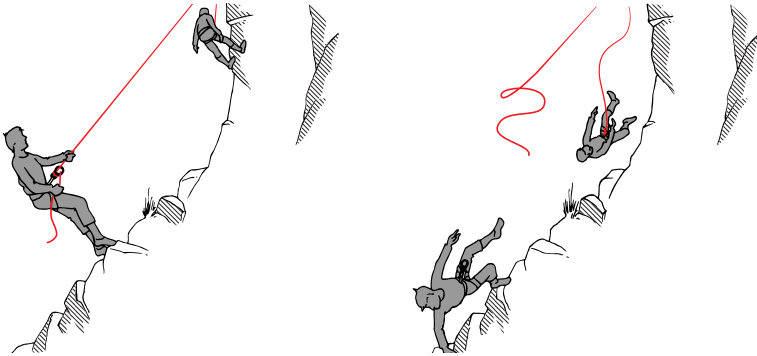
rys.). Kiedy drugi z partnerów dotarł do punktu asekuracyjnego, wpiął się do haka zjazdowego, żeby następnie przeciągnąć linę bezpośrednio przez jego ucho, umożliwiając w ten sposób późniejsze ściągnięcie liny bez utraty karabinka. Wszystko zrobił jak trzeba: najpierw wpiął zakręcany karabinek z haka, a następnie siebie z liny, przeciągnął linę przez hak i wpiął się do niej z powrotem za pomocą kluczki i zakręcanego karabinka – tyle że przez nieuwagę zrobił to po niewłaściwej stronie haka. Na szczęście pomyłka nie uszła uwadze asekurującego, który natychmiast krzyknął, żeby partner nie ruszał się z miejsca, czym ochronił go przed pewnym upadkiem i prawdopodobnie bardzo poważnymi obrażeniami.

Asekuracja z ciała

Kiedy podczas opuszczania partnera stosujemy asekurację z ciała, oznacza to, że my także obciążamy linę (a więc w pewnym sensie na



Zawsze z pełnym zaufaniem wobec partnera



W stromym terenie asekuracja z ciała może się skończyć upadkiem obu wspinaczy

niej „wisimy”) i jeśli nagle wypuścimy ją z rąk i przyrządu asekuracyjnego, możemy stracić równowagę i ulec wypadkowi.

W okolicach Kanzianiberg niedaleko Villach zdarzył się następujący wypadek (por. rys.): **asekurant** stojący na stromym skalistym zboczu stracił równowagę, wypuścił linę i poleciał 5 metrów w dół razem ze wspinającym się partnerem (którego lot był oczywiście odpowiednio dłuższy).

Pytanie o przyczyny

Warto się zastanowić, co prowadzi do występowania wypadków tego rodzaju, lecz nie chodzi tu o bezpośrednie przyczyny, bo te są oczywiste: zbyt krótka lina nieoczekiwanie wyslizguje się asekurującemu z rąk i przyrządu asekuracyjnego. Pytanie dotyczy raczej przyczyn pierwotnych: co powoduje, że asekurujący się zagapia i nie zauważa, że lina się kończy?

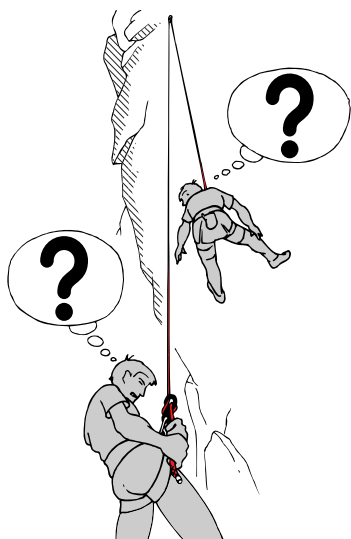
Jednym z powodów może być luźna atmosfera wśród osób wspinających się w parkach wspinaczkowych lub na skałach. Mogą to być również niewielkie wysokości dzielące wspinaczy od ziemi, dające złudzenie nieszkodliwości ewentualnego upadku (choć każdy wie, że już upadek z pięciu metrów może mieć bardzo przykre następstwa). Może

to być wreszcie brak wysokogórskiego otoczenia – widok potężnych szczytów na tle nierzadko ciemnego i groźnego nieba, w połączeniu z niskimi temperaturami, wzbudza we wspinaczach należyne szacunek i sprawia, że stają się bardziej ostrożni i nie zapominają tak łatwo o prawie powszechnego ciężenia.

Początkujący

Kiedy za opuszczanie na linę zabiera się zupełny nowicjusz, który nie zdążył jeszcze poznać związanych z tym zagrożeń ani dostatecznie porządnie (lub choćby trochę) przećwiczyć odpowiednich technik, wtedy o wypadek jeszcze łatwiej.

Doświadczony wspinacz poznał dziewczynę i jak to miał przy takich okazjach w zwyczaj, zaprosił ją na wyprawę w skały. Tym razem padło na park wspinaczkowy Adlerhorst niedaleko Gmunden w Górnej Austrii. Nowa znajoma znalazła się wprawdzie na wspinaczkę równie dobrze, jak przeciętny pierwszoklasista na rachunku różniczkowym, ale to mu nie przeszkadzało pozwolić jej sobie asekurować podczas prowadzenia wyciągu i opuszczania. Niestety przy tej ostatniej czynności koniec liny przeslizgnął się dziewczynie przez ręce i przyrząd asekuracyjny, i mężczyzna spadł do podstawy ściany, a następnie sturlał jesz-



cze kilka metrów w dół. Na szczęście szybko wyhamował. Poza trzema złamanymi żebrami miał tylko rozliczne siniaki, choć mogło się skończyć nawet śmiercią – gdyby potoczył się w dół 100-metrowego, stromego i skalistego zbocza.

Kiedy asekurowający utrzyma za krótką linę...

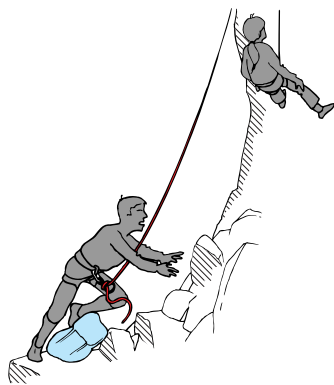
...i zapobiegnie jej wysunięciu się z przyrzędu asekuracyjnego, to wcale nie oznacza końca problemów. Opuszczany partner zawiśnie bo-

wiem „w pół drogi” (por. rys.) i będzie musiał wykonać manewr, który niesie ze sobą bardzo duże ryzyko popełnienia błędu: wspiąć się z powrotem do pierwszego mocnego haka, założyć autoasekurację, ściągnąć linę, przeciągnąć ją przez „nowy” hak zjazdowy i z powrotem się do niej przywiązać. Niebezpieczne – jak każda przepinka¹.

Nawet kiedy zadbasz już o wszystko, nie przestawaj myśleć

Propozycja nie do odrzucenia dla asekurowających: pamiętajmy, żeby odwiązywać się od liny dopiero wtedy, kiedy partner, którego opuszczamy na dół, stanie na pewnym gruncie.

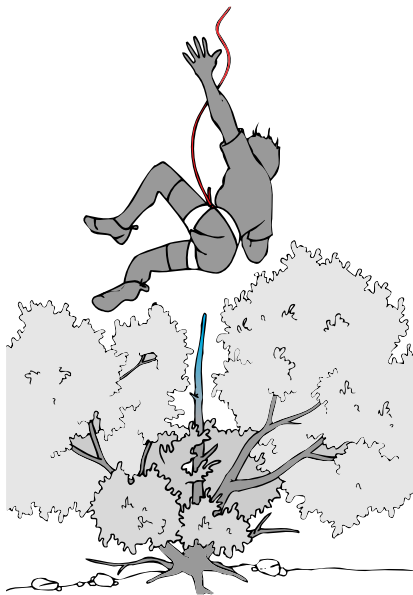
W 1997 roku, w okolicach Kanzianiberg niedaleko Villach, dwuosobowy zespół wspiął się na 24-metrowej, szóstkowej drodze. Mężczyzna, który pokonał trasę jako pierwszy, zrobił przepinkę do zjazdu i zjechał z powrotem na dół, przygotowując w ten sposób drogę dla mającej się wspiąć na wędkę partnerki. Kobieta ruszyła do góry, a partner asekurował ją, stojąc na niebezpiecznym, stromym i skalistym zboczu. Ponieważ pamiętał o ryzyku wyslizgnięcia się liny, zabezpieczył jej koniec kluczką, jednak po jakimś czasie,



¹ Por. t. I, str. 163-166.

z niejasnych (także dla siebie samego) powodów, rozwiązał kluczkę i zszedł kilka metrów w dół, gdzie mógł wygodniej stanąć. Kiedy opuszczał partnerkę i ta znalazła się około 5 metrów od miejsca, w którym rozpoczęła wspinaczkę, zorientował się, że zostało mu zaledwie 50 centymetrów wolnej liny. Żeby móc dokończyć opuszczanie, musiał podejść kilka metrów do góry. I wtedy się zaczęło: wspinacz potknął się o leżący na zboczu plecak i odruchowo wypuścił linę, a jego partnerka poleciała pięć metrów w dół i spadła na strome zbocze. Mężczyzna zareagował błyskawicznie i doskoczył do niej, chcąc powstrzymać jej dalszy upadek. Niestety, nie udało się. Kobieta porwała go ze sobą i oboje stoczyli się po stromiźnie pięć metrów w dół. Wspólny upadek zakończyli na krzaku, który na całe szczęście znalazł się na ich drodze – tuż za nim był 10-metrowy uskok. Gdyby polecili dalej, na pewno skończyło by się na czymś dużo gorszym niż złamana kostka (u kobiety) oraz siniaki i zadrapania (u mężczyzny).

W lutym 2000 roku, w masywie Montserrat w Hiszpanii dwóch młodych, ale już bardzo doświadczonych wspinaczy sportowych z Niemiec (jeden z nich był nawet instruktorem wspinaczki sportowej) próbowało swoich sił na drodze o długości 37 metrów. Ponieważ mieli do dyspozycji 55-metrową linę, nie mogli po pokonaniu całej trasy zjechać bezpośrednio na sam dół, ustalili więc, że na wysokości około 20 metrów będą robić przepinkę na stanowisku pośrednim, zbudowanym z dwóch haków połączonych łańcuchem (czyli najpierw założą autoasekurację, następnie ściągną linę, przeciągną ją przez nowy punkt zjazdowy i zjadą do podstawy ściany). Aby wykluczyć możliwość prześlizgnięcia się liny przez przyrząd asekuracyjny (w tym wypadku Grigri), asekurujący przywiązał do jej końca worek na linę. Jako pierwszy ruszył w górę instruktor i po zrobieniu wszystkiego po kolei zgodnie z ustaleniami,



Nabicie na pal – jak w dawnych (i wcale nie tak dobrych) czasach

wylądował bezpiecznie na ziemi.

Następnie partnerzy zamienili się rolami – teraz asekurował instruktor. Jednak kiedy opuścił kolegę mniej więcej do wysokości stanowiska pośredniego, ten nagle runął w dół i spadł do podstawy ściany. Co się stało? To co zwykle – lina niespodziewanie wyslizgnęła się opuszczającemu z rąk i przyrządu asekuracyjnego. Instruktor zapomniał niestety (lub uznał to za zbyt cenne) przywiązać do liny worek (lub jakikolwiek inny przedmiot, który mógłby w razie czego zablokować linę).

Poszkodowany doznał ciężkich obrażeń, między innymi licznych złamań (mostka, żeber i kręgów lędźwiowych) oraz bardzo bolesnej i zagrażającej życiu rany odbytu, spowodowanej nadzianiem się na nagą, ostrą gałąź, wystającą z rosnącego pod skałą krzaka (z drugiej strony, gdyby nie owa gałąź, niczym niehamowany upadek z wysokości 20 metrów miałby prawdopodobnie śmiertelny finał).

O tym, jak bolesną karą było nabijanie na pal uczy historia. Roszczenie o zadośćuczynienie za ból i cierpienie nie bez powodu opiewało na dużą kwotę – 50 tysięcy marek. Na szczęście sprawca wypadku miał odpowiednie ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej. Choć sytuacja wyglądała z pozoru na oczywistą, nie obyło się bez pośrednictwa sądu. Ubezpieczyciel instruktora próbował bowiem doprowadzić do uznania współwiny poszkodowanego, który jakoby powinien sprawdzić, czy asekurujący go partner zabezpieczył linę. Sędzia stwierdził jednak, że jedyną osobą, którą można w tym wypadku obciążyć winą, jest sprawca wypadku. Wskazał na jego instruktorskie uprawnienia i związaną z tym odpowiedzialność – orzekł, iż nie można oczekiwać, że amatorzy będą kontrolować profesjonalistów.

Kwestia winy

Dawniej wypadki, które zdarzały się podczas wspinaczki, traktowano zazwyczaj jako zrzędenie losu, dziś jednak coraz więcej osób prezentuje postawę roszczeniową i coraz częściej słyzy się pytania: „kto zawinił?” i „jaka będzie kwota odszkodowania?”. I choć w razie błędów popełnianych podczas opuszczania, zwykle na pierwsze z nich można intuicyjnie bardzo szybko odpowiedzieć, to ostateczna decyzja i tak należy do sądu. A że tylko niewielu prawników uznaje orzecznictwo w tego rodzaju sprawach za utrwalone, to decyzje bywają różne. Nieliczni prawnicy specjalizujący się w tej dziedzinie wychodzą zasadniczo z założenia:

Jeżeli asekurowany (czy to podczas wspinaczki, czy podczas opuszczania), za każdym razem miałby się liczyć z tym, że w podbramkowej sytuacji asekurujący może wypuścić linę, powodując jego upadek, to cała idea używania liny jako zabezpieczenia byłaby pozbawiona sensu.

Kiedy mamy do czynienia z dwoma podobnie zaawansowanymi wspinaczami, literatura fachowa¹ i dotychczasowe orzecznictwo dotyczące odpowiedzialności za wypadki spowodowane przez zaniedbanie, jako winnego wskazują asekurującego. Jednak w większości zdarzeń obarczanie całą winą osoby opuszczającej nie jest słuszne. Część odpowiedzialności spada również na poszkodowanego, ponieważ on także powinien działać z głową – stanowi przecież część zespołu. Można więc wymagać, żeby prowadząc wyciąg, zadał sobie zawczasu pytanie: „W którym miejscu powinienem zawrócić, żeby wystarczyło liny do powrotu na ziemię?”. Nie powinien się wspinać bezzwrotnie i beztroško wybierać dowolnie wysoko położone miejsce na przepinkę do zjazdu, tylko cały czas pamiętać o zależności między wysokością, na której się znajduje, a długością liny. Najlepiej, kiedy obaj partnerzy ustalą miejsce przepinki jeszcze na ziemi.

Jeżeli opuszczany partner nie nalegał przed rozpoczęciem wspinaczki, żeby asekurujący przywiązał się do liny lub w inny sposób zabezpieczył jej koniec przed wyslizgnięciem się z przyrządu asekuracyjnego, oznacza to, że świadomie podjął ryzyko i część odpowiedzialności za ewentualny wypadek spadnie także na niego. Oczywiście większość winy i tak zawsze będzie po stronie asekurującego, ponieważ to on „obsługuje” linę i opuszczany partner jest właściwie zdany wyłącznie na niego (może co najwyżej pytać raz na jakiś czas, czy liny na pewno wystarczy). Podsumowując, w zależności od sytuacji, odpowiedzialność obu partnerów waha się zwykle od 100% winy po stronie asekurującego (por. wypadek w masywie Montserrat, str. xx) do około 66%. W rzadkich wypadkach odpowiedzialność spoczywa wyłącznie po stronie opuszczającego się (por. wypadek w parku wspinaczkowym Adlerhorst, str. xx187).

1 Por. przyp. xx, str. xx.

Co robić?

- Najlepiej kiedy asekurowujący (opuszczający) sam także przywiąże się do liny. Wystarczy również, jeśli na końcu liny zawiąże ósemkę albo kluczkę i przypnie ją do upręży za pomocą zakręcanego karabinka. Trzeci sposób to przytwierdzenie na końcu liny worka na linę (lub plecaka).
- Jeśli te rozwiązania nam nie odpowiadają, to absolutnym minimum będzie zawiązanie węzła na końcu liny. Zagrożenie wtedy zmaleje, ale ryzyko wciąż będzie istniało. Może się przecież zdarzyć, że asekurowujący **się potknie** albo w inny sposób straci równowagę i niechcący puści linę, która – w zależności od rozmiarów ósemki – może się przez nią prześlizgnąć nawet mimo węzła.



Optymalne rozwiązanie



Niebezpieczeństwo ograniczone, ale wciąż ryzykownie



Bardzo niebezpiecznie

- Dobra rada: w przypadku dużych karabinków lub ósemek o większych oczkach, jak również w przypadku lin cieńszych niż 10 mm, sprawdźmy najpierw „na sucho” (przed rozpoczęciem wspinaczki), czy zawiązana przez nas na końcu liny podwójna ósemka nie jest za mała i czy na pewno nie przecięśnie się przez przyrząd asekuracyjny, którego używamy; jeśli się przecięśnie, to bezwzględnie powinniśmy dowiązać linę do swojej upręży.
- Asekurowujący powinien czuć nad ilością wydawanej liny i w odpowiednim momencie poinformować wspinającego się partnera, że zużył już jej połowę. Przyda się również pamiętać o tym, żeby długość drogi wspinaczkowej nie przekroczyła długości drogi opuszczania.



Najwyższy czas na przepinkę do zjazdu ... (zaznaczona połowa liny)

Jeśli w wyniku wypadku doszło do uszkodzeń czaszki, a poszkodowany nie miał na głowie kasku, stopień jego współwiny może znacząco wzrosnąć¹. Zwłaszcza jeżeli rzecz

zdarzyła się w miejscu, w którym istnieje zagrożenie uderzenia spadającymi kamieniami i kask jest niezbędny – wówczas wzrośnie na pewno. Wiele terenów wspinaczkowych jest wprawdzie ocenianych jako niestwarzające takiego zagrożenia, ale można to uznać za wyraz myślenia życzeniowego – tak bardzo nie

1 Wyjątkiem są sztuczne ścianki wspinaczkowe (zarówno kryte, jak i znajdujące się na otwartej przestrzeni), na których noszenie kasków nie jest wymagane.

lubimy nosić kasków. Tymczasem obrażenia głowy w wyniku uderzenia spadającymi kamieniami zdarzają się także w pozornie bezpiecznych pod tym względem mekkach wspinaczy sportowych takich jak choćby park wspinaczkowy Dschungelbuch na szczycie Martinswand niedaleko Innsbrucku. Zawsze trzeba się liczyć z tym, że jeżeli w miejscu, w którym doszło do wypadku leżą luźne odłamki skalne, które mogą spaść i spowodować obrażenia, brak kasku może być wystarczającą przesłanką do przeniesienia części winy ze sprawcy wypadku na poszkodowanego.

Nierzadko sprawca wypadku (albo jego ubezpieczyciel) odrzuca kierowane pod swoim adresem zarzuty, twierdząc, że od momentu połączenia się liną, partnerzy wspinaczkowi tworzą swoistą wspólnotę ryzyka, w której każdy dobrowolnie godzi się na ewentualność odniesienia obrażeń. Chybiony argument – przynajmniej w asekuracji na wędkę, gdzie nie ma mowy o żadnej wspólnocie ryzyka, bo zagrożenie dotyczy wyłącznie tej osoby, która się wspina (inaczej podczas wspinaczki wysokogórskiej, kiedy wszyscy partnerzy są tak samo narażeni na uderzenia spadającymi kamieniami lub odłamkami lodu, porwanie w dół przez odpadające albo tracące równowagę

partnera itp.). Tutaj asekurujący nie musi liczyć się z żadnym niebezpieczeństwem, a jego ewentualny błąd może zaszkodzić jedynie drugiemu członkowi zespołu (to samo dotyczy opuszczania na linie).

Kiedy dochodzi do rozprawy przed sądem, strona pozwana o odszkodowanie argumentuje często, że wspinaczka sportowa to „bardzo niebezpieczna” dyscyplina sportu (w domyśle: trzeba się liczyć z wypadkami). Z tym również nie można się zgodzić. Po pierwsze, wspinaczka z asekuracją na wędkę uchodzi powszechnie za wyjątkowo bezpieczną (na tyle bezpieczną, że wprowadzono ją nawet do szkół), po drugie przy tego rodzaju argumentacji często błędnie utożsamia się przedsięwzięcia szczególnie trudne ze szczególnie niebezpiecznymi (owszem, drogi pokonywane przez wspinaczy sportowych mają często bardzo wysoki stopień trudności, ale nie oznacza to, że ich pokonywanie wiąże się z równie wysokim ryzykiem).

Na koniec trzeba dodać, że wspinaczka nie jest sportem takim jak boks czy piłka nożna, w którego uprawianie wliczone jest ryzyko uszkodzenia ciała przez przeciwnika. W górach i na skałach nie ma przeciwników, są tylko prawa natury, a wśród nich – najważniejsze w tym kontekście – prawo powszechnego ciężenia.